Stanisław Kwiatkowski

Zakończenie wojny świętowane przez aliantów w maju 1945 r. dla wielu Polaków okazało się iluzoryczne. Chociaż nasi żołnierze walczyli na wszystkich frontach i Polska należała do zwycięzców, to o powojennych dziejach Polski, jej granicach państwowych, o ustroju politycznym i sojuszach wojskowych, przesądzono na konferencji w Jałcie – bez naszych przedstawicieli i wiedzy rządu polskiego na uchodźstwie. Stąd poczucie zawodu, rozgoryczenia i pretensji do sojuszników. W nastroju braku nadziei, przygnębienia, narastało przekonanie, że znów zostaliśmy oszukani, że przegraliśmy zwycięstwo.
W tym krymskim kurorcie, od 4 do 11 lutego 1945 roku, trzej przywódcy koalicji antyhitlerowskiej – Churchill, Roosevelt i Stalin – postanowili, bez udziału Polaków, że wydarte w 1939 roku przez Związek Radziecki przedwojennej Polsce tereny (chociaż etnicznie niepolskie) pozostaną przy ZSRR, a granica wschodnia będzie przebiegać według tajnego paktu Ribbentrop–Mołotow z 1939 roku. Rekompensatę – przesunięcie naszej granicy zachodniej aż na Odrę i Nysę Łużycką – zamierzano przesądzić w odrębnym trybie, dopiero po wojnie.
Powtarzała się historia z 1920 roku, kiedy bolszewicy maszerowali na Warszawę, wówczas premierzy Wielkiej Brytanii i Francji układali się z nimi jak dzielić Rzeczpospolitą, obiecywali Rosjanom więcej niż ci się spodziewali. Mieliśmy oddać ziemie na wschód od rzeki Bug (linia Curzona), zgodzić się na okrojenie naszego państwa do „ziem etnicznie polskich”. Z kolei na konferencji w Locarno (5.10. 1925 r.) kosztem Polski robiono interesy z Niemcami. Nasz minister spraw zagranicznych nie został wpuszczony na salę obrad, czekał w sąsiednim pokoju na decyzję mocarstw. Nawet niezbyt szczerze dzielili się informacjami z rozmów o kluczowych dla Polski kwestiach.
Jak zawsze Polska ustępliwość i uległość wynikała z dysproporcji siły i potencjału. Polakom o wiarołomnych sojuszach zapominać nie wolno. O tym, że zdradzono nas w 1939 i po raz drugi w Jałcie w 1945 roku, gdzie ustalono nowy podział Europy. Zostaliśmy – można rzec – „sprzedani” przez zachodnich aliantów Stalinowi. Losy sojuszniczego narodu i jego państwa uczyniono przedmiotem dyplomatycznych przetargów, ofiarą porozumienia zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej, a w rezultacie – wygraną Stalina. Generalissimus czuł się panem sytuacji także na froncie. Jak wyglądał teatr działań wojennych w Europie? Przed konferencją, odpowiednio wcześniej, Stalin doprowadził do rozstrzygających posunięć wojskowych na Bałkanach i w Polsce. W rezultacie ofensywy styczniowej znad Wisły Armia Czerwona uchwyciła przyczółki na Odrze pod Kostrzynem i zagony pancerne mogły z powodzeniem ruszyć na Berlin. Tymczasem, na froncie zachodnim, Hitler gruntownie pokrzyżował plany operacyjne generałów alianckich swą zaskakująca ofensywą grudniową w Ardenach, wskutek czego zachodni alianci byli dopiero nad Renem. Ponadto Rooseveltowi zależało na jak najszybszym przerzuceniu swojej armii z Europy na Daleki Wschód. Gotów był zapłacić wysoką cenę, żeby jak najszybciej wciągnąć Związek Radziecki do wojny z Japonią i uratować życie tysiącom amerykańskich żołnierzy, którzy niechybnie zginęli by podczas krwawego desantu na wyspach Nipponu.
Stalin stając w Jałcie do przetargu dyplomatycznego, miał zatem mocne atuty; mógł podbijać cenę, pertraktować z pozycji siły. Oczywiście nie chciał zaostrzać stosunków z Zachodem, bowiem zabiegał o to samo, co w pierwszych, dramatycznie trudnych latach wojny, potrzebował

potęgi gospodarczej Stanów Zjednoczonych do odbudowy radzieckiego przemysłu, no i liczył jeszcze na wysokie odszkodowania od pokonanych Niemiec, przede wszystkim z obszarów wysoko uprzemysłowionych. Zachodni alianci byli za słabi, by przeszkodzić zwycięskiemu Stalinowi w realizowaniu postanowień z Jałty. Chociaż nie było formalnych zapisów tak daleko idących, a jedynie deklaracje intencji, on do końca wykorzystał okazję i z powodzeniem wprowadził w życie swoje strategiczne cele. Związek Radziecki wybił się do roli mocarstwa i z tego tytułu zajęte tereny uważał za własną sferę wpływów, ze wszystkimi konsekwencjami politycznymi. Nierespektowanie powstałego status quo w Europie w formie bloków wojskowo-politycznych, czyli równowagi militarno-politycznej, groziło katastrofą nowej wojny.
W tej konstelacji międzynarodowej po zakończeniu wojny, w tym układzie sił w Europie i na świecie, Polska – państwo o zmienionych granicach – znalazła się w sferze dominacji Związku Radzieckiego, jako prawie bezpośredni protektorat, co przesądzało o charakterze władzy w Polsce Ludowej, rządach sprawowanych metodą przemocy i represji wobec opozycji politycznej i organizacji podziemia. Objęcie władzy przez komunistów było nieuchronne, tylko oni mogli rządzić Polską; Stalin im ufał i oddał ziemie zachodnie. Przy wszelkich rozważania o powojennych losach naszego społeczeństwa, powinno się pamiętać, że utrzymanie granicy zachodniej zależało od ZSRR i właśnie to w największym stopniu przesądzało o polskiej polityce zagranicznej i naszych stosunkach wzajemnych ze wschodnim mocarstwem. Usytuowanie kraju w bloku ZSRR decydowało o całej powojennej historii Polski, na 35 lat ograniczyło naszą suwerenność, aż do 1989 roku. Tylko Polska prorosyjska mogła zachować odrębny byt państwowy, korzystne terytorium na mapie Europy. Bez przyjaznych stosunków z sąsiadem, zamiast być beneficjentem Jałty, bylibyśmy jego 17. republiką.
Na zajętych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich, natychmiast po wyzwoleniu od wojsk niemieckich, Związek Radziecki ustanawiał lokalne władze i instytucje z mianowanymi przez siebie urzędnikami, działania te miały sankcjonować zwasalizowane formy zależności. Po wyzwoleniu z jednej opresji zaczęła się druga. Mieliśmy dwa rządy, jeden „tymczasowy" w Lublinie, drugi na uchodźstwie w Londynie. Ten emigracyjny, z przedwojennymi przywódcami bez inicjatywy, został obezwładniony politycznie. W swoim programie nie zgadzali się na zmianę granicy Rzeczypospolitej, ustalonej traktatem ryskim, odrzucali kompromis z Rosją. Po zachodniej stronie frontu, oszukani przez aliantów, zagubieni Polacy nie mieli żadnego wsparcia instytucjonalnego, w poczuciu niezasłużonej krzywdy, w atmosferze frustracji czekali na wieści z kraju, czy wracać do Polski?
W kraju nadal trwały wyniszczające konflikty na tle politycznym i etnicznym, także zbrojne w wymiarze lokalnym. Ci, którzy nie zaakceptowali rzeczywistości powojennej, zdecydowali się trwać w podziemiu i nadal prowadzić walkę, skoro jednego okupanta zastąpił drugi. Nie wiedzieli, co dalej, w którą iść stronę, co z sobą począć, właściwie przestali być komukolwiek potrzebni. Nie mieli żadnego dobrego wyjścia, zagubieni tracili orientację, zanosiło się na tragiczną śmierć w odosobnieniu i bez sensu, ale „z honorem". Mamy słabość do romantycznych, wzniosłych i tragicznych gestów, bezsensownej „wierności sobie".
Powojenne rozterki młodych żołnierzy podziemnej wielotysięcznej Armii Krajowej: iść „do lasu", czy raczej się ujawnić, dylemat „bić się czy nie bić" – to kontynuacja 150–letniej tradycji polskich zrywów niepodległościowych. Po raz kolejny w polskiej historii, jak niegdyś, od XVIII wieku począwszy, wobec wojsk zaborców stacjonujących u nas, powtarzał się wybór między niezłomną walką szlachetnych powstańców w romantycznym uniesieniu a realistycznym wyciągnięciem wniosków z powstałej sytuacji i dostosowaniem do realiów nowej rzeczywistości.

Pokolenie to opisano w powojennej literaturze, w książkach sławiących etos powstańczy, odwagę i patriotyzm akowskiej młodzieży, żeby wspomnieć o twórczości J. Andrzejewskiego i A. Wajdy, bohaterach kultowej wówczas powieści i filmu „Popiół i diament". O dywagacjach jednego z nich (Andrzeja Kosseckiego w trakcie rozmowy z Maćkiem Chełmickim): „...potrafiłby szukać łatwego zapomnienia, gdyby nie ów od niego samego niezależny sprzeciw, który tkwił w nim i jakkolwiek był nikły, zmuszał przecież do poszukiwania we wszystkim trwałego sensu, wówczas nawet gdy życie wszelki sens zdawało się kruszyć i zacierać. Lecz co z tego? Pustka. Ciemność. Z możliwości minionych lat walki nie zostało nic. Z zapału i entuzjazmu nie zostało nic. Z pragnień i nadziei – także nic. Świat zwycięzców jeszcze raz się podzielił na zwycięzców i zwyciężonych. Do tych drugich dołączyły się cienie zmarłych, którzy za co potracili swoje życia? Za nic. Wojna dogorywała. I żadna nadzieja nie wchodziła, aby usprawiedliwić bezmiar tych wszystkich ofiar, cierpień i krzywd, gwałtów i ruin, które pozostały śród dnia wczorajszego". Akowcy zmuszeni koniecznością dramatycznych wyborów, ciągłego oceniania słuszności moralnej swoich zachowań, przeżywali konflikty moralne z samym sobą, spotęgowane brakiem nadziei, osamotnieniem, zagubieniem. Ich ówczesne postawy sprowadzić można do trojakiego rodzaju orientacji czy reakcji na otaczającą rzeczywistość, zachowań określanych jako: opór, trwanie, przystosowanie. Przy czym, te ich reakcje, jak wiemy od Krystyny Kersten (1989), to nie było rozumowanie w kategoriach albo – albo, albo opór, albo kapitulacja czy identyfikacja z nową władzą. „Opór i określone przez realia polskiego położenia przystosowanie przybierały rozmaitą postać i leżały u podstaw kształtujących się wówczas orientacji: od niezłomnej, wspartej na przekonaniu, że wojna między dotychczasowymi sojusznikami stoi za progiem, po kapitulancką – uznającą że zależność Polski od ZSRR jest nieodwracalną rzeczywistością".
O wyborze pomiędzy tymi postawami decydowało wiele czynników: „jedne pchały w kierunku pogodzenia się ze zgotowanym Polsce losem, inne zaś pchały do oporu, czasem jawnie demonstrowanego, ale częściej skrytego, tajonego. Czasem świadomego, czasem odruchowego. Opór i przystosowanie nie stanowiły więc dwóch różnych płaszczyzn, lecz skomplikowaną konstelację, w której, zależnie od warunków, raz ugoda brała górę, raz bunt". Niechęć i obawy, co najmniej nieufność do nowej władzy, były dość powszechne, pamiętano przecież o zaborach, o wojnie polsko–bolszewickiej i zajęciu jednej trzeciej obszaru II RP w 1939 roku. W czasie okupacji żywiołowo rozwijał się konspiracyjny ruch oporu, zmagań z okupantem najpierw rosyjskim, a potem niemieckim, pamiętano gehennę prześladowanych, wywożonych i ginących w beznadziejnej walce.
W 1944 partyzanci wychodzili z lasów, ale wobec fali aresztowań i wzmożonych represji powstał opór i kiedy terror stał się codziennym doświadczeniem lasy zaczęły się znów zapełniać. W obławie augustowskiej w lipcu 1945 r. radzieckie jednostki wojskowe NKWD ujęły i zgładziły w egzekucji, bez sądu, na podstawie decyzji administracyjnej, ok. sześciuset żołnierzy Polski Podziemnej. Podobne sceny powtarzały się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Infiltracja NKWD przez agentów sięgała głęboko do struktur podziemia, nie ustawały represje, akcje pacyfikacyjne, deportacje do ZSRR, aresztowania działaczy politycznych, osób aktywnych, znanych ze swej postawy, cieszących się prestiżem w swoim środowisku. W więzieniach i obozach bez sądu przebywały dziesiątki tysięcy ludzi. Wielu zginęło, część wyszła złamana z więzień, okaleczona psychicznie przez własne decyzje i przeżycia.
W okresie powojennym żywe były wśród wielu Polaków nadzieje na trzecią wojnę światową, oczekiwania na pomoc Zachodu gdyby doszło do konfrontacji, wojny domowej między zwolennikami delegatury rządu londyńskiego i lubelskiego mającego wsparcie administracji radzieckiej. Wobec bierności sojuszników nadzieje takie okazały się płonne, jeśli nawet, to

konfrontację taką w tych okolicznościach trudno by nazwać wojną domową. Rachuby takie świadczyły o braku myślenia realistycznego, nakazującego godzić się z sytuacją niemożliwą do przezwyciężenia. Przeciwni powojennej rzeczywistości politycznej, ci co w poczuciu zniewolenia, poszli do lasu – na zasadzie „wszystko lub nic" – chociaż na ogół też mieli motywacje patriotyczne, narażali państwo na utratę nawet tej ograniczonej suwerenności. Światli Polacy, patrzący na sprawy czysto realistycznie, rozumieli geopolityczne konieczności, że w sytuacji międzynarodowej po wojnie Polska musiała się znaleźć po stronie Związku Radzieckiego, że zachodni koalicjanci to akceptowali, że Polskę – sojusznika walczącego do końca wojny – zostawiono w strefie kontrolowanej przez ZSRR i nie jesteśmy w stanie tego zmienić. Przekonani o trwałości rządów mających oparcie w Armii Czerwonej, o historycznej konieczności, wiedzieli że nie ma szans na konfrontację, nikt nam nie pomoże. Że „ramy, które nakreśliła Jałta, przetrwają nas, może nasze dzieci i wnuki? Rzecz polegała nie na tym, żeby pójść z pałaszem na Moskwę, lecz na tym, jak w tych ramach się poruszać, poszerzać je, zapewnić większą podmiotowość".

Myślący w kategoriach interesu państwa, zdawali sobie sprawę z tego, że tylko w tych warunkach mogło istnieć państwo i naród mógł się rozwijać. Pytali swoich adwersarzy: jak odbierać prawo do swojej racji ludziom, którzy tak myślą, mieli świadomość dysproporcji sił, zarazem byli przekonani, iż zewnętrzne uwarunkowania polskiej sytuacji, wymuszone przez geopolitykę, nie ulegną zmianie w dającej się przewidzieć przyszłości, robili co mogli, starali się żeby powstrzymywać od takich wyborów bo są skazane na przegraną i pozbawione sensu. Co więcej, wielu uważało, że zmiana ta nie byłaby, z punktu widzenia interesów Polski korzystna, biorąc pod uwagę zagrożenie ze strony Niemiec, spotęgowane przesunięciem granic państwa polskiego po Odrę i Nysę łużycką.

W legitymizacji nowej rzeczywistości ustrojowej w powojennej Polsce ważną rolę odegrali ci, co przyszli ze wschodu – ludowe Wojsko Polskie. Czy mogli zapomnieć co przeżyli, w czym uczestniczyli? Mieli w pamięci niedawne przeżycia zniewolenia, bezradność wobec opresyjnych zmian, chyba nauczyli się milczeć, jak ludzie chcący przeżyć – zastraszeni, terroryzowani (zesłańcy, więźniowie, podwładni żołnierze szeregowi). Ta trauma naznaczyła ich uległością i strachem, skupiali się na własnym przetrwaniu. Widzieli ogromną Rosję i jej militarne możliwości, potęgę tej armii. Po wojennych doświadczeniach i zmęczeniu, rozgoryczeni konsekwencjami wojny wygranej przez sojuszników, którzy pozostawili Polskę pozbawioną suwerenności, własnemu losowi. Doceniali to, co się im udało z pozycji pragmatycznych, po swojemu rozumieli polską rację stanu, miary patriotyzmu, argumenty moralne i racjonalnie uzasadniane wybory i motywy działania. Nie chcieli znaleźć się w obozie wrogów nowego ładu, ludzi nastawionych na totalną negację, którzy nie wyciągając wniosków z tego, co zaszło, żyją mrzonkami i zmyśleniami. Czyż można mieć im za złe, że zamiast „na dnie z honorem lec", utrzymali się przy życiu, by służyć Polsce, jak się dało w tamtych warunkach?

Tworzyli formację, która odegrała ważną rolę w organizowaniu Polski powojennej i kierowaniu państwem w nowych granicach. Wojciech Jaruzelski, jeden z nich, mówił o sobie i towarzyszach broni (w 2001 r.):

– Uważam, że myśmy mieli rację, idąc na Berlin, a nie ci idący do lasu. (...) Mówię to zresztą z pełnym szacunkiem dla patriotyzmu ludzi, którzy do tego lasu szli. Z ubolewaniem wobec represji i cierpień które zaznali.

Przy innej okazji (w 2002 r.) dodawał: i jedni, i drudzy, „nie mówiąc o osobach i grupach o charakterze awanturniczym lub bandyckim – kierowali się patriotycznymi pobudkami. O tym, z jakiej znaleźli się strony – zdecydował częstokroć los, przypadek. Liczyć się więc powinien

obiektywny skutek, efekt danej drogi. A więc nie wartościowanie moralne, nie przyklejanie takich, a nie innych etykietek. (...) Najważniejsze to starać się zrozumieć realia tamtych dramatycznych, trudnych czasów. Nie można ich malować tylko w jednym – czarnym lub białym kolorze".

W przekonaniu, że walczą z wspólnym wrogiem o słuszną sprawę, o wolność i powrót do Polski – starali się zachowywać zgodnie ze swymi przekonaniami i wartościami moralnymi, dobrze pełnić obowiązki służbowe. Liczyły się czyny, mniejsze o obce racje ideowe i narzucane propagandowe postulaty polityczne. Generał tłumaczył adwersarzom (w 2003 r.):

– Armia Czerwona i tak przez Polskę by przeszła, ale bez nas, bez polskich formacji. Tak się nie stało. Przeszliśmy w walce jako regularna polska armia. (...) Jak czułby się dzisiaj nasz Naród, gdyby jego żołnierz nie uczestniczył bezpośrednio w wyzwalaniu ojczystej ziemi? Jest to wielki kapitał zarówno polityczny, jak i moralny.

Z przekonaniem przyjmowali zmiany granic uzasadniane położeniem geopolitycznym Polski, że trzeba się pogodzić ze stratami na wschodzie, żeby mieć pewność granicy zachodniej, którą realnie zapewniał sojusz z ZSRR w obronie przed Niemcami. Traktowali podległość Moskwie jako polską rację stanu, mówili językiem realizmu politycznego i bali się, że stracimy nowe, korzystne zachodnie granice, bo Zachód ich nie uznawał. Na Wschodzie zaś nic nie dostaniemy z powrotem, to już przeszłość, wobec tego Polska wyjdzie przegrana.

Myślący realistycznie angażowali się w struktury tworzącego się systemu politycznego w przekonaniu, że zamiast się buntować trzeba maksymalnie wykorzystać sytuację w ramach istniejących warunków i z odpowiedzialnością za los państwa i narodu. Wierzyli, że w Polsce da się wprowadzić zmiany ustrojowe lepiej niż u wschodniego sąsiada. Zaczęli obudowę państwa nie w pełni suwerennego, ale własnego, i w tamtych warunkach geopolitycznego położenia – jedynie realnego.

Zdecydowana większość, chcąc nie chcąc jakoś „włączyła" się aktywnie w powojenną rzeczywistość, w odbudowę kraju, jego życie gospodarcze, naukowe, kulturalne, w przemiany zgodne z polską racją stanu oraz oczekiwaniami społecznymi. To była generacja po przejściach, ludzie przystosowani, gotowi do mniej czy dalej idących kompromisów z narzuconą władzą. Lojalnie służyła Polsce pojałtańskiej, która stwarzała warunki do przetrwania i rozwoju narodu w nowych realiach geopolitycznych i ustrojowych; rozumieli, że nie było wówczas innej możliwości kontynuacji polskiej państwowości. Nie sposób było trzymać się kiedyś obranej drogi, niezależnie od okoliczności i od zmieniającego się świata. Mogli wybrać postawę ucieczki od rzeczywistości, jednak kierując się imperatywem odpowiedzialności, poczuciem obowiązku patriotycznego, starali się jakoś przystosować do nowej rzeczywistości politycznej skażonej ideologicznymi naciskami, w nadziei, że „da się jakoś w niej żyć, nie gwałcąc sumienia". Polityczny realizm łączyli z ochroną swoich wartości, z patriotyzmem, albo pierwotny konformizm zmieniali w trwały polityczny oportunizm pozwalający zachować własną tożsamość. Ich patriotyczne czyny mieściły się w granicach tego, co w istniejącej sytuacji było możliwe, na co pozwalały okoliczności czasu i miejsca.

***Stanisław Kwiatkowski**, prof. dr hab., socjolog, twórca CBOS, wykładowca akademicki*